



Gabriel Ferry

GOŃCY LEŚNI CZYLI POSZUKIWACZE ZŁOTA
CZEŚĆ DRUGA



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

37

ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)

ISBN 978-83-66980-10-5 (część 2)

LE COUREUR DES BOIS

PAR
GABRIEL FERRY



Gustave

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gabriel Ferry

(LOUIS DE BELLEMARE)

**GOŃCY LEŚNI, CZYLI
POSZUKIWACZE SKARBÓW**

Część druga



Gabriel Ferry to przydomek literacki dwóch pisarzy francuskich, ojca, Eugène Louisa Gabriela Ferry de Bellemare (1809-1852) i syna, Gabriela de Bellemare, urodzonego w roku 1846, o nieznanym dacie śmierci.

Przodkowie Gabriela Ferry'ego byli bogatymi plantatorami na Haiti, wygnanymi stamtąd wydarzeniami rewolucji francuskiej. Jego ojciec Gabriel Denis przeniósł się do Anglii i Francji, zamieszkał w Grenoble gdzie zajmował się handlem z Ameryką Łacińską, zwłaszcza Meksykiem.

Gabriel Ferry uczył się w Collège Royal w Wersalu, w roku 1830 z polecenia ojca wyjechał do Meksyku, aby zajmować się jego interesami, do Francji wrócił w 1840. Mieszkał w stolicy, ale odbył wiele podróży po tym kraju, głównie do Sonory, gdzie zamierzał tworzyć osadnictwo francuskie. Podczas pobytu w Meksyku był świadkiem wielu burzliwych wydarzeń, wojny domowej, dyktatury Santa Anny, wspieranych przez Stany Zjednoczone powstań Komanczów i Apaczów na północy, buntów w Zapacetas, w Teksasie, który ogłosił niepodległość w roku 1835, rebelii Republiki Rio Grande, w Tabasco, na Jukatanie, wojny francusko-meksykańskiej w latach 1838-1839.

Wszystko to stanowiło doskonały bodziec do twórczości literackiej i Gabriel Ferry zaczął po powrocie do Francji pisać opowiadania osadzone w realiach meksykańskich, oparte na jego wspomnieniach, które cieszyły się sporą popularnością. Przyczynił się mocno do powstania we Francji mitu Dzikiego Zachodu, gdyż akcje swoich utworów umieszczał często na pograniczu meksykańsko-amerykańskim, który to mit pogłębiał później Gustave Aimard, wzorujący się mocno na Gabrielu Ferry'm.

Ferry pozostał w swej twórczości romantykiem, czerpiącym wiele z dzieł Fenimore'a Coopera, którego bohaterów przenosił z terenów Kanady do Meksyku, pozostawiając ich charakter. Pierwsze opowiadania zamieszczał w czasopismach, w tym w renomowanym „La revue des deux mondes” (lata 1847-1850), później wydawał je w zbiorach. Następnie pisał powieści, jak pełne egzotycznego kolorytu, gwałtownych zwrotów akcji, zbrodni, dramatów, walk i powstań, w które obfitowała historia Meksyku.

W sumie Gabriel Ferry jest autorem opowiadań, wspomnień z pobytu w Meksyku, prac popularyzujących wydarzenia historyczne tego kraju, kilku powieści. Podejrzewa się, że część z tych dzieł mogło wyjść spod pióra jego syna, używającego tego samego pseudonimu literackiego. W XIX wieku cieszyły się sporą popularnością, potem popadły w zapomnienie. Jego dzieła to *Costal l'Indien, ou Le dragon de la reine, scènes de la guerre de l'indépendance de Mexico, Les Coureurs des bois ou Les chercheurs d'or, Les Squatters, La Clairière du bois de Hugues, La Chasse aux Cosaques, La Famille de Jeanne d'Arc. Les aventures de Jehan d'Arc (1464-1465), Tancrede de Chateaubrun, Les prouesses de Martin Robert, histoire d'un humble, Les exploits du César: romain parisien, Les aventures du Français au pays du Caciques*. Były one tłumaczone na język angielski, hiszpański i niemiecki, także na polski przez Władysława Umińskiego, lecz były to przekłady bardzo luźne, np.: *Wędrowiec leśny, Skarb Sonory*.

Gabriel Ferry został mianowany przedstawicielem rządu francuskiego w Kalifornii podczas gorączki złota; zginął tragicznie podczas rejsu tam statkiem „Amazone”, który zatonał na Zatoce Biskajskiej w wyniku wywołanego uderzeniem pioruna pożaru.

Gabriel Ferry



GOŃCY LEŚNI, CZYLI
POSZUKIWACZE SKARBÓW

Część druga

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Dziewięćdziesiąta piąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Trzydziesty siódmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Coureurs des bois ou les chercheurs d'or

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2021

97 ilustracji, w tym 24 karty tablicowe kolorowe: J.M. Guilliod
zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Andrzej Zydorczak

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2021


ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)

ISBN 978-83-66980-10-5 (część druga)

Rozdział XXIX

Sceny na pustyni

 tej samej godzinie dnia, w której Indianie zgromadzeni wokół ogniska odbywali naradę, zastanawiając się nad sposobami zaatakowania obozu poszukiwaczy złota, powinniśmy wrócić do trzech bohaterów, gdyż moglibyśmy zostać oskarżeni, że na zbyt długo o nich zapomnieliśmy.

Było około czwartej po południu. Pustynia pogrążona była jeszcze w ciszy, mgła powoli zaczynała się unosić znad rzeki, pośrodku której leżała mała wysepka służąca za schronienie dla trzech myśliwych: Bois Roségo, Fabiana i Pepego.

Wysokie wierzby i osiki rosły nad brzegami Rio Gila w odległości strzału karabinowego od małej wyspy, o której mowa, tak blisko wody, że ich korzenie przebijały ziemię po brzeża i kapały się w rzecę. Odstępy pomiędzy poszczególnymi drzewami wypełnione były dodatkowo silnymi pędami wikliny lub innymi splątanymi ze sobą odroślami. Prawie na wprost wysepki otwierała się jednak dość szeroka przestrzeń ogołocona z roślinności.

Była to droga, którą sobie utorowały stada dzikich koni i bizonów, udających się do wodopoju. Można było zatem przez ten rozstęp ogarnąć wzrokiem okoliczną równinę.

Wysepka, gdzie znajdowali się trzej myśliwi, utworzyła się pierwotnie z pni drzew zatrzymanych przez swoje korzenie w dnie koryta rzeki. Inne drzewa utknęły na tej przeszkodzie; niektóre miały jeszcze gałęzie i liście, inne już dawno uschły, a płatanina ich korzeni uformowała coś w rodzaju dużej tratwy.

Od czasu początkowego formowania się kępy musiały już upłynąć niejedne zima i lato, gdyż wyschłe trawy wyrwane z brzegów przez wezbrane wody i nagromadzone pomiędzy nimi gałęzie wypełniły szczeliny tratwy. Następnie pył, który unosi i transportuje z od-

dali wiatr, pokrył trawy skorupą ziemi, tworząc rodzaj stałego terenu na tej pływającej wyspie.

Wzdłuż jej brzegów rosły wodne rośliny. Z pni wierzb wyrastały mocne pędy, które wraz z trzciniami i strzałkami wodnymi¹ otaczały tę kępę grzywą zieleni, dziwnie połączoną z szkieletami drzew albo z dużymi gałęziami pozbawionymi kory. Ten rodzaj tratwy mógł mieć kilkadziesiąt stóp średnicy i człowiek leżący lub klęczący, bez względu na swą wysokość, mógł się całkowicie ukryć za zasłoną pędów i gałęzi wierzb.

Słońce zniżało się ku horyzontowi i już lekki cień rzucany przez pasmo liści i traw rozciągał się na teren wysepki. Dzięki chładowi rozprzestrzenianemu przez ten rodzący się zmrok, a także dzięki wzięwom rzeki Fabian spał rozciągnięty na ziemi. Bois Rosé wydawał się czuć nad niespokojnym snem młodzieńca wynikającym ze znużenia po długim marszu i z nieustannie powtarzających się niebezpieczeństw. Pepe chłodził się, moczając nogi w wodzie.

Wykorzystamy chwilowy spoczynek Fabiana, by uchylić zasłonę, za którą młody hrabia ukrywał przed oczami dwóch przyjaciół swoje najskrytsze i najdroższe myśli.

W chwili upadku Fabiana do potoku Pepe zapomniał, że wróg, na którym zamierzył się zemścić, uniknął jego nienawiści. On i Kandydyk myśleli tylko o szybkim udzieleniu pomocy Fabianowi.

Wracając do życia, z sercem jeszcze rozdartym opowiadaniem byłego mikaleta, pierwszym odruchem Fabiana było wznowienie przerwanej pościgu.

Zdobycie Złotej Doliny, zawsze obecne wspomnienie doñi Rosario, przez chwilę zniknęły przed nakazującą potrzebą pomszczenia matki.

Ze swej strony Pepe nie był człowiekiem, który wyrzekłby się złożonej przysięgi. Co do Bois Roségo, wszystkie jego uczucia koncentrowały się na jego towarzyszach i poszedłby z nimi na krańce świata.

¹ *Strzałka wodna (Sagittaria sagittifolia)* – bylina z rodziny żabięcowańych (*Alismataceae*); występuje w płytkich wodach śródlądowych, prawie na całej kuli ziemskiej; liście podwodne wstęgowe, nadwodne – trójkątnie strzałkowate; kwiaty okazałe, białe, zebrane w wiechę; w Polsce pospolita na nizinach.

To chwilowe niepowodzenie nie tylko ich nie zniechęciło, ale przeciwnie, pobudziło zapał. W miłości, tak jak w nienawiści, przeszkody są zwykle potężnym bodźcem dla silnie zahartowanych dusz. Stopniowo ten pościg stawiał przed Fabianem podwójny cel. Przybliżał go do tej Złotej Doliny leżącej na pustyniach, gdzie don Antonio miał zamiar się zapuścić, a on żywił niejaką nadzieję, że być może placer, którego położenie mu wyjawiono, nie był tym samym, który wyprawa księcia de Armada chciała zdobyć. Powróciwszy do bardziej rozsądnych myśli, Fabian mówił sobie, że córka don Augustina była bez wątpienia posłuszna ambitnym poglądom swego ojca i że on, szlachetny i bogaty, z łatwością pokona takiego rywala jak senator Tragaduros. Jednak również stopniowo powracało zniechęcenie i oświadczyło ono Fabianem. Kochał córkę hacjendera z całą mocą swej duszy, a myśl że tę miłość może zdobyć przy pomocy skarbów, za którymi się uganiał, wywołała zniechęcenie. Stał się jego ofiarą.

Fabian wkrótce zrozumiał, że gorąca i zazdrosna czułość Kandyjczyka stanowiła wyłączny cel jego życia, że podobny do orła, który wyrwawszy swoje orlątko z rąk człowieka, unosząc je w przestrzenie tylko dla niego dostępne, Bois Rosé, który na zawsze pożegnał się z cywilizowanym życiem, równie jak podobni jemu gońcy leśni, chciał z niego zrobić swego nieodłącznego towarzysza na pustkowiach. Młodzieniec uświadomił sobie również, że oszukiwanie tej nadziei było zarzuceniem welonu żałoby nad przyszłością starca. Tymczasem pomiędzy Fabianem a Bois Rosém nie doszło do żadnego zwierzenia odnoszącego się do planów na przyszłość, ale wobec miłości, którą uważał za pozbawioną nadziei, wobec gorących, aczkolwiek tajemnych życzeń człowieka przez dwa lata zastępującego mu ojca, z którym rozłączenie musiało złamać mu serce, Fabian spełnił szlachetną i milczącą ofiarę swoich upodobań i nadziei, uparcie niechcących umrzeć.

Jednym słowem nie moglibyśmy lepiej porównać sytuacji Fabiana, który – że tak można rzec – potrzebował tylko wyciągnąć rękę do dóbr zazdroszczonych przez wszystkich: bogactw, tytułów i za-

szczytów, niż do człowieka, którego nieszczęśliwa miłość pozbawiła sensu życia i który, gardząc przyszłością, szuka w klasztorze zapomnienia o przeszłości. Dla Fabiana de Mediana klasztorem była pustynia, a po pomszczeniu swej matki nie pozostawało mu nic innego, jak się w niej na zawsze pograżyć. Smutnym i nieskutecznym lekarstwem jest samotność ze swymi tajemniczymi głosami, z namiętymi marzeniami, jakie wzbudza, i niekończące się uniesienia, pobudzone dla namiętności, którą sama samotność tak głęboko rozwinęła w młodym sercu Fabiana!

Pozostawała mu tylko jedyna nadzieja, a mianowicie, że pośród ciągle odradzających się niebezpieczeństw awanturniczego życia, być może nie była daleka chwila, w której zakończy swój żywot w jakiejś potyczce z Indianami albo w jednej z desperackich prób, jakie przysiągł uczynić przeciw zabójcy swej matki.

Ukrył starannie przed Kanadyjczykiem miłość zachowaną w głębi swego serca i dopiero wśród nocnej ciszy, podczas gdy czuwał, Fabian ośmielił się zanurzać ukradkowe spojrzenia w tajniki swej duszy. Wówczas, jak świetlny refleks, który w ciemnościach nieba zapala się na horyzoncie nad wielkimi miastami, a w który uchodzący wygnaniec wpatruje się z rozrzewnieniem, oddalone światła wznosiły się w ogromie pustyni przed oczami Fabiana i ukazały mu promieniejący i zawsze ukochany obraz na tym wyłomie w murze hacjendy, gdzie zatrzymały się jego ostatnie wspomnienia. Podczas dnia bohaterski młodzieńiec usiłował jednak ukrywać pod pozornym spokojem pożerającą go melancholię. Ograniczał się do uśmiechania ze smutną rezygnacją co do planów na przyszłość, które niekiedy rozwijał przed nim Kanadyjczyk, szczęśliwy z odzyskania młodzieńca i jednocześnie drżący na myśl o tym, że znowu straci tego, którego dłoń zamknie mu kiedyś powieki, gdy uśnie na wieki na tych pustkowiach, gdzie miało upływać jego życie.

Ślepe przywiązanie Bois Roségo nie potrafiło odgadnąć otchłani pod spokojną powierzchnią jeziora, ale Pepe wydawał się bardziej domyślny.

Pod wpływem tych przemyśleń znajdujemy obecnie trzech towarzyszy na kępie rzeki Gila.

– Oczywiście – powiedział hiszpański myśliwy – mieszkańcy Madrytu drogo zapłaciliby za podobną rzekę w Manzanares, ale wynik jest taki, że straciliśmy cały dzień. Mogliśmy go pożytecznie wykorzystać, by przybliżyć się do Złotej Doliny, od której nie możemy być teraz daleko.

– Masz rację, ale to dziecko – odpowiedział Bois Rosé tym słowem określając silnego młodziana spoczywającego pod jego okiem – nie przywykło do długich marszy pieszo i chociaż dla nas pokonanie sześćdziesięciu lig w ciągu dwunastu dni nie jest wielkim wyczynem, to jednak dla niego, który dotąd odbywał długie wędrówki na koniu, sześćdziesiąt lig musi coś znaczyć. Zanim jednak upłynie rok, będzie zdolny wędrować tak długo, jak my sami to czynimy.

Pepe nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu po tej odpowiedzi Kanadyjczyka, ale ten nie zauważył go, a były mikelet dalej bił stopami chłodną wodę rzeki.

– Spójrz – dodał Hiszpan, wskazując na uśpionego Fabiana – jak ten chłopiec zmienił się od kilku dni. Mogę łatwo to sobie wyobrazić, bo gdy byłem w jego wieku przekładałem figlarną twarzyczkę Manoli i Puerta del Sol¹ w Madrycie nad wszelkie wspaniałości pustyni. Nie samo znużenie wywołało w nim tę zmianę, lecz tkwi w tym jakaś tajemnica, o której młodzieniec nie chce nam powiedzieć, jednak spodziewam się, że kiedyś go przeniknę.

Po tych słowach Kanadyjczyk szybko odwrócił głowę ku sęmu ukochanemu dziecku i uśmiech radości rozproszył chmurę, jaką zasnuło się czoło jego przybranego ojca.

Fabian istotnie się uśmiechał. Śniło mu się, że słuchał na klęczkach słodkiego głosu dońi Rosarity, która opowiadała mu o swoich lękach podczas jego długiej nieobecności, i że za nim, wsparty na swej strzelbie, Bois Rosé przypatrywał im się i błogosławił. Ale to był tylko sen.

Dwaj myśliwi przez pewien czas w milczeniu przypatrywali się śpiącemu Fabianowi.

¹ *Puerta del Sol* (pol. Brama Słońca) – jeden z najważniejszych placów w Madrycie; znajduje się w samym centrum miasta, lecz w XV wieku był to jeden z wjazdów do miasta położony w jego wschodniej części murów.

– Oto jest ostatni potomek Medianów – stwierdził z westchnieniem Hiszpan.

– Co nas obchodzi ród Medianów i ich potężna rasa? – przerwał Kanadyjczyk. – Znam tu tylko po prostu Fabiana. Kiedy go ocaliłem, kiedy się przywiązałem do dziecka, które było niejako z mojej krwi, czy się troszczyłem o jego przodków?

– Ależ obudzisz go, jeśli będziesz tak donośnie mówił. Twój głos huczy jak wodospad – rzekł Pepe.

– To... – odparł olbrzym i mówił dalej cichszym głosem. – Ale ty mi ciągle przypominasz rzeczy, o których nie chciałyby wiedzieć, a przynajmniej wołałbym o nich zapomnieć. Wiem dobrze, że kilka lat pobytu na pustyni przyzwyczai go...

– Doprawdy, Bois Rosé, masz dziwaczne urojenia – przerwał Hiszpan – wyobrażając sobie, że przy nadziejach, jakie czekają na don Fabiana w Hiszpanii, i prawach, których zwrotu może się domagać, ten młodzieniec zechce spędzić całe życie na pustkowiach. To jest dobre dla nas, którzy nie mamy ani ogniska, ani kąta, ale on!

– Cóż znowu! Czy pustkowie jest czymś gorszym od miast? – odrzekł żywo dawny majtek, który na próżno usiłował ukrywać przed sobą, że Hiszpan ma rację. – Co do mnie, będę się starał skłonić go do wybrania koczowniczego zamiast siedzącego trybu życia. Czy nie chodzi o to, by się ruszać, walczyć przez całe życie, doświadczać silnych wrażeń na pustkowiach, do czego człowiek jest stworzony?

– Bez wątpienia – odparł poważnie Pepe – i dlatego miasta są tak puste, a pustkowie tak zaludnione.

– Nie żartuj sobie, mówię o poważnych sprawach – odrzekł Kanadyjczyk. – Pozostawiając Fabianowi swobodę podążania według jego skłonności, będę wiedział, jak sprawić, by pokochał to upajające życie pośród trudów i niebezpieczeństw. Popatrz tylko, czy ten krótki sen smakowany w pośpiechu pomiędzy dwoma niebezpieczeństwami na pustyni nie jest pożądanym od tego, jakiego się doznaje po dniu bezczynności w mieście? Ty sam, Pepe, przyznaj, czy zgodziłbyś się wrócić do swego kraju, odkąd zakosztowałeś powabów koczowniczej egzystencji?

– Jest znamienna różnica między spadkobiercą Medianów, a ja biorę to na siebie, by uczynić go już niedługo spadkobiercą jego stryja, a byłym mikeletem. Jemu przywrócą piękne dobra, wielkie imię, wspaniały gotycki zamek z historycznymi wieżyczkami, takimi jak katedry w Burgos, gdy tymczasem mnie wyprawiono by niebawem na połów tuńczyków do Ceuty, co jest dla mnie najobrzydliwszym życiem, jakie znam, i wtedy pozostawałby mi jedyny środek na ucieczkę: obudzenie się pewnego pięknego poranka w Tunisie lub Tetuanie¹ jako niewolnik naszych sąsiadów, afrykańskich Maurów. Tutaj wprawdzie mam codziennie szansę być oskalpowanym albo żywcem odartym ze skóry przez Indian i dlatego mogę powiedzieć, że miastą są dla mnie równie niebezpieczne, jak pustkowia, jednak co się tyczy don Fabiana...

– Fabian zawsze żył w samotności – przerwał mu Kanadyjczyk – i jak myślę, będzie wołał spokój pustkowi od zgiełku miast. Jak wokół nas wszystko jest milczące i uroczyste! Popatrz tu. – Ręką wskazał na uśpionego młodzieńca, jak śpiące dziecko łagodnie kołysane szmerem wody pieszczącej tę wysepkę i przez wietrzyk poruszający wierzby. – Spójrzysz tam. – I wskazał na horyzont. – Na te mgły, które słońce zaczyna zabarwiać, i na ten bezgraniczny ogrom, w którym człowiek błąka się w swej pierwotnej wolności jak ptak szybujący w strefach powietrza.

Hiszpan pokiwał głową z powątpiewaniem, chociaż dość chętnie podzielał myśli Kanadyjczyka, a ten nawyk sprawił, że dla niego koczownicze życie pełne było tajemnych uroków.

– Patrz – mówił dalej stary myśliwy – ta chmura kurzu, tam, nad brzegami rzeki, to stado dzikich koni przychodzących napić się, zanim wrócą nocą na swe odległe pastwiska. Oto zbliżają się w całej dumnej okazałości, jaką Bóg obdarzył swobodne zwierzęta, z iskrzącymi oczyma, z czerwonymi i rozwartymi nozdrzami, z powiewającą, grzywą. Ach! Mam wielką ochotę obudzić Fabiana, aby mógł się im przypatrzeć i podziwiać.

¹ *Tetuan* – miasto w północno-zachodnim Maroku, ojczyzna berberyjskich Maurów.

– Pozwól mu spać, Bois Rosé, być może, że mu się coś śni, bo w tym wieku sny przedstawiają najpowszechniejsze postaci, których nigdy pustynie mu nie ukażą, a które często się ukazują w naszych hiszpańskich miastach na balkonach albo za okratowanymi oknami.

Stary myśliwy westchnął.

– A jednak – dodał – jest to piękny widok! Ach, jakże te szlachetne zwierzęta podrygują z radości w upojeniu swej wolności!

– Tak, dopóki Indianie nie zaczną ich ścigać, a wtedy będą skakać z trwogi.

– Oto odbiegły równie szybko jak pędzona wiatrem chmura – mówił dalej Kanadyjczyk, walcząc jeszcze przeciw swemu przekonaniu. – Teraz widownia się zmienia. Patrz, czy widzisz tego jelenia, który niekiedy ukazuje swoje wielkie błyszczące oczy i czarny pysk w prześwitach między drzewami? On węszy i słucha. Ach, a teraz zbliża się, chcąc się napić. Usłyszał jakiś szmer, podnosi głowę... Czy nie można by powiedzieć, że te smugi wody spływające z jego pyska są płynnym złotem, bo tak pięknie barwi je słońce? No, teraz obudzę dziecko.

– Mówię ci, dajże mu spać. Może teraz ma sen, w którym ukazują się zamiast tego pięknego zwierza czarne oczy i różowe usta uśmiechające się za wierzbami lub jakaś nimfa uśpiona nad brzegiem przezroczystego strumyka jak kwiat, który wypadł z bukietu i leży zapomniany na trawie.

Stary Kanadyjczyk ponownie westchnął.

– Czy ten jeleni nie jest także symbolem nieograniczonej niezależności?

– Dopóki wilki nie zgromadzą się, by go ścigać i rozszarpać. Być może miałby większe szanse na przeżycie w naszych królewskich parkach. Każda rzecz ma swój czas, Bois Rosé. Dojrzały wiek lubi ciszę, młodość marzy tylko swobodnie pośród wrzawy.

W Bois Rosém iluzja walczyła z rzeczywistością. Była to kropla żółci, którą Bóg wpuszcza na dno każdego pucharu szczęścia. Nie chce, aby istniało doskonałe szczęście, bo byłoby zbyt przykro umierać,

podobnie jak nie chce, aby w nieszczęściu nie było ulgi, bo życie byłoby zbyt kłopotliwe.

Kanadyjczyk w zamyśleniu schylił głowę na piersi. Zadumał się smutno, spoglądając ukradkiem na śpiącego syna, podczas gdy Pepe wkładał na nogi myśliwskie buty ze skóry bizona.

– Ech, co ci mówiłem? Czy nie słyszysz wycia w oddali? Powiniennem raczej powiedzieć: ujadania, bowiem polujące wilki ujadają podobnie jak psy. Biedny jeleń! Jak dobrze powiedziałeś, jest to symbol życia na pustyni.

– Czyli tym razem mam obudzić Fabiana? – zapytał z triumfem Kanadyjczyk.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Hiszpan – bo jeżeli miał takie sny, jakie sobie wyobrażałem, to po miłosnych marzeniach widok pięknego polowania jest godny wielkiego pana, jakim się stanie, a rzadko kiedy przydarzy mu się zobaczyć coś podobnego.

– Rzeczywiście, w żadnym mieście nigdy nie zobaczy nic podobnego! – zawołał uradowany Kanadyjczyk. – Takie sceny sprawią, że pokocha pustkowie.

Stary łowca delikatnie potrząsnął młodzieńcem, uprzedziwszy go głosem, ponieważ nie chciał, by po przebudzeniu zerwał się nagle na równe nogi.

Z porożem na karku, z nabrzmiąłą szyją, z głową odchyloną do tyłu, by łatwiej wciągać przez nozdrza powietrza niezbędne dla swych szerokich płuc, jeleń jak strzała pędził przez przestrzeń. Za nim podążała sfera wygłodniałych wilków, kilka białych, ale większość czarnych. Ściagały go z szybkością armatnich pocisków rykoszetujących na równinie.

Jeleń znacznie je wyprzedzał, ale na piaszczystych wydmach rozsiansych po sawannie, gubiących się prawie na horyzoncie, bystre oko myśliwego mogło odróżnić inne wilki będące na czatach i śledzące usiłowania swoich towarzyszy, którzy gnali jelenia w ich stronę.

Szlachetny zwierz wydawał się ich nie widzieć albo lekceważyć ich obecność, gdyż ciągle uciekał w ich kierunku.

Przybywszy na pewną odległość od czatujących wilków, które blokowały mu drogę, zatrzymał się na chwilę.

Rzeczywiście, jeleni został uwięziony w kręgu nieprzyjaciół. Ten ciągle się wokół niego zacieśniał, gdy zatrzymał się, by nabrać tchu. Nagle odwrócił się, natarł na wilki, które gnały go w zasadzkę, i ostatnim niesamowitym wysiłkiem usiłował umknąć tej grupie wrogów. Nie potrafił jednak przedrzeć się przez zwarty blok, który razem tworzyły, i wpadł między nie. Niektóre, zmiażdżone, przetaczały się pod jego nogami, dwa czy trzy inne opisywały w powietrzu parabolę, straciwszy wnętrzości. Następnie z wilkiem uczeptionym jego nóg, z krwawiącymi bokami, z wywieszonym jęzorem, biedne zwierzę zbliżyło się do brzegu rzeki naprzeciw trzech obserwatorów tego dziwnego polowania.

– To jest piękne, wspaniałe! – klaszcząc w dłonie, uniesiony myśliwskim zapalem zagłuszającym ludzkość w sercu prawie każdego człowieka, zawołał Fabian.

– Prawda, że to jest piękne? – wykrzyknął z kolei Kanadyjczyk, podwójnie uszczęśliwiony i z radości Fabiana i z tego, co sam odczuwał. – Moje dziecko, zobaczysz jeszcze wiele innych rzeczy. Tutaj widzisz tylko brzydką stronę amerykańskich pustkowi, ale gdy znajdziesz się z Pepem i ze mną na brzegach wielkich rzek, nad wielkimi jeziorami na północy...

– Zwierz pozbył się swego wroga – przerwał Fabian – i zapewne rzuci się do rzeki.

Woda zawrzała i wystrzeliła w górę pod wpadającym jeleniem, po czym zagotowała się i wzburzyła jeszcze z dziesięć razy. Następnie z kłębów piany pokazały się rogi i głowa jelenia, a za nim łby wilków zajadle ścigających go z krwawymi ślepiami, wyjąłymi z głodu i pożądania, gdy tymczasem inne, lękliwsze, biegały szalenie wzdłuż brzegu, wydając żałosne piski.

Jeleń znajdował się w niewielkiej odległości od wysepki zajmowanej przez widzów jego agonii, kiedy wilki, które pozostały na brzegu, nagle przestały ujadać i uciekły w pośpiechu.

– Ej, co to znaczy? – zawołał Pepe. – Skąd się wzięła ta panika?

Były mikelet jeszcze nie dokończył tego pytania, gdy widok, który go uderzył, zastąpił odpowiedź.

– Schylcie się, schylcie się, na Boga, za trawy! – rzucił i dał przykład swoim towarzyszom. – Indianie także polują.

Faktycznie inni potężniejsi myśliwi pojawili się z kolei na rozległej arenie należącej do wszystkich przybywających na te pozabawione panów pustynie.

Jakiś tuzin tych dzikich koni, które Kanadyjczyk i Pepe widzieli zbliżające się do wodopaju, szaleńczo galopował po równinie. Indiańscy jeźdźcy jadący na oklep na swych rozsiodłanych, a co z tym idzie – zwinniejszych koniach, przykucnęli na swoich wierzchowcach z kolanami prawie na wysokości ich podbródków, by pozostawić im całą swobodę w ruchu, uganiai się za przestraszonymi zwierzętami. Początkowo widać było tylko trzech Indian, ale później, jeden po drugim, ze dwudziestu wyłoniło się zza granic horyzontu. Jedni byli uzbrojeni w włócznie, inni wywijali w powietrzu splecionymi ze skóry *lazos*, wszyscy, wydając ryki, za pomocą których wyrażali swoją radość lub gniew.

Pepe spojrział badawczo na Kanadyjczyka, jakby chciał zapytać, czy przewidział te okropne wypadki mające skłonić Fabiana do ich awanturniczego życia. Po raz pierwszy w podobnej chwili oblicze nieustraszonego myśliwego okryło się śmiertelną bladością. Posępne, ale wymowne spojrzenie było odpowiedzią Bois Roségo na nieme pytanie Hiszpana.

„To oznacza – pomyślał Pepe – że zbyt żywe uczucie w sercu najmężniejszego człowieka wzbudza w nim trwogę o tego, którego kocha bardziej niż swoje życie, i że tacy awanturnicy jak my nie powinni mieć żadnych więzi na tym świecie. Oto Bois Rosé stchórzył jak baba”.

Tymczasem było prawie pewne, że wyćwiczony wzrok Indian nie zdoła przeniknąć ich tajemniczego schronienia. Trzej myśliwi po pierwszym alarmie mogli z obojętnością przypatrywać się poczynaniom Indian.

Jeszcze przez jakiś czas dzicy jeźdźcy ścigali uciekające konie. Niezliczone przeszkody rozsiane na tych równinach pozornie tak gładkich: jary, pagórki, kaktusy z ostrymi kolcami, nie zdołały ich powstrzymać. Nie zwalniając gwałtowności biegu, ani też nie omijając przeszkód, indiańscy wojownicy przesadzali je z nieustraszoną śmiałością. Będąc sam dzielnym jeźdźcą, Fabian z entuzjazmem przypatrywał się zadziwiającej zwinności tych nieustraszonych łowców. Ostrożność, jaką jednak musieli zachować trzej przyjaciele, by ukryć się przed wzrokiem Indian, pozbawiała ich części imponującego i zarazem straszego spektaklu tego polowania, którego sami mogliby się stać obiektem.

Te rozległe prairie, niedawno tak puste, nagle zmieniły się w widownię pełną zamieszania i wrzawy. Osaczony jeleni, zmuszony powrócić na brzeg, znów zaczął uciekać z szybkością wiatru, gdy tymczasem wilki, ożywione swoimi wysiłkami, goniły go i wyły. Dzikie konie galopowały przed Indianami, których wycie nie ustępowało wyciu tych mięsożernych zwierząt, i opasywały wielkie koła w celu uniknięcia włóczy albo *lazo*. Liczne echa powtarzały ujadania wilków i przeraźliwe wycia Apaczów.

Na widok Fabiana, który chciwym wzrokiem śledził te wszystkie hałaśliwe ewolucje, nie wydając się niepokoić o niebezpieczeństwo, któremu po raz pierwszy stawiał czoła, Bois Rosé nadaremnie wzbudzał w sobie samym zaufanie, które nieraz go ocaliło z groźniejszego położenia niż obecne, gdyż prawdopodobne było, że nie zostaną dostrzeżeni.

– Ach! – odezwał się. – Są to sceny, których mieszkańcy miast nigdy nie ujrzą, bo tylko na pustkowiach można się na nie natknąć.

Jego głos jednak mimowolnie drżał, a mężczyzna zatrzymał się, gdyż czuł, że poświęciłby rok swego życia, by jego dziecko nie było tego świadkiem. Poza tym jeszcze inna sprawa pomnożyła jego trwogę.

Nie zmieniając widowni, scena stawała się bardziej uroczysta, gdyż nowy aktor, którego rola miała być krótka ale okropna, właśnie się w nią wmieszał. Był to jeździec, a po odzieży trzej przyjaciele rozpoznali w nim białego chrześcijanina, takiego jak oni.



Nieszczęśnik, gwałtownie ściągnięty z siodła,
stracił równowagę i upadł na piasek.

Nieszczęśnik, nagle odkryty podczas jednego z manewrów w czasie indiańskiego polowania, z kolei stał się obiektem wyłącznej pogoni. Dzikie konie, wilki, jeleń, zniknęły w odległej mgłę. Pozostało tylko dwudziestu indiańskich jeźdźców, rozproszonych po wszystkich punktach ogromnego okręgu, którego biały jeździec zajmował środek. Przez chwilę można było dostrzec, jak sam pomiędzy tyłoma nieprzyjaciółmi zwracał na wszystkie strony rozpaczliwe i udręczone spojrzenie, ale oprócz miejsca od strony rzeki Indianie byli wszędzie. W tym kierunku mógł więc uciekać i szybko zwrócił konia ku otworowi otoczonemu drzewami, położonemu na wprost kępy.

Moment, w którym pozostawał niezdecydowany, wystarczył jednak, by Indianie już się zbliżyli.

– Ten nieszczęśnik jest zgubiony bez względu na to, co by przedsięwziął – stwierdził Bois Rosé. – Już za późno, by mógł przedostać się przez rzekę.

– Bois Rosé, Pepe – odezwał się Fabian – jeżeli możemy uratować chrześcijanina, to czy pozwolimy, by zarżnięto go na naszych oczach?

Pepe naradził się spojrzeniem z Bois Rosém.

– Odpowiadam przed Bogiem za twoje życie – rzekł uroczyście Kanadyjczyk. – Nie mógłbym za nic zaręczyć, gdyby nas odkryto, gdyż jest nas tylko trzech przeciw dwudziestu. Życie trzech ludzi, zwłaszcza twoje, Fabianie, jest cenniejsze niż życie jednego. Powinniśmy pozostawić losowi tego biedaka.

– Ale jesteście przecież obwarowani... – nalegał wspaniałomyślnie Fabian.

– Obwarowani! – powtórzył Bois Rosé. – Czy obwarowaniem nazywasz ten wątył wał wiklin, strzałek i trzciny? Czyż uważasz, że te rośliny są kuloodporne? Poza tym widzisz teraz tych Indian w liczbie dwudziestu, lecz niech tylko jedna kula z naszych strzelb powali na ziemię jednego z tych czerwonych diabłów, to wkrótce ujrzysz stu zamiast dwudziestu. Niech Bóg przebaczy mi moją obojętność, ale jest to konieczne.

Fabian nie nalegał dłużej po tej ostatniej uwadze. Była zbyt przekonująca, ponieważ nie wiedział, że główny oddział wyruszył ku obozowi don Estevana.

W tymże czasie biały jeździec uciekał jak człowiek, który jedyną nadzieję ratunku pokłada w szybkości swego konia. Kierował się w wolną przestrzeń pomiędzy drzewami, otwierającą się na wprost kępy. Już można było dostrzec trwogę malującą się na jego twarzy. Był tylko o dwadzieścia kroków od rzeki, kiedy spadło na niego *lazo* Indianina, a nieszczęśnik, gwałtownie ściągnięty z siodła, stracił równowagę i upadł na piasek.



Rozdział XXX

Indiański dyplomata

Do okrzykach triumfu i radości sygnalizujących schwytanie i upadek niefortunnego białego jeźdźca, zapadła chwila głębokiej ciszy. Przebywający na wysepce wymienili spojrzenia przerażenia i litości.

– Chwała Bogu! – rzekł Fabian. – Nie zabili go.

Jeniec rzeczywiście powstał, cały potłuczony po upadku, a jeden z Apaczów zdjął z niego arkan. Bois Rosé i Pepe pokiwali głowami.

– Tym gorzej dla niego, bo już by obecnie więcej nie cierpiał – rzekł Hiszpan. – Milczenie Indian oznacza, że każdy z nich namyśla się nad rodzajem tortur, jakie zostaną wobec niego zastosowane. Schwytanie jednego białego jest dla nich cenniejsze niż złapanie całego stada dzikich koni, które ścigali.

Indianie, nie zsiadając z koni, otaczali jeńca, a ten rzucał wokół siebie błędnym wzrokiem. Widział ze wszystkich stron tylko brązowe twarze z nieruchomymi mięśniami. Potem Apacze zaczęły naradzać się między sobą.

W tym czasie jeden Indianin, który – jak się zdawało – był dowódcą oddziału i którego ciemniejsza cera i czarne pióra wbite we włosy odróżniały go od innych wojowników, jakby pogardzał tą błahą naradą dla ważniejszego interesu, zeskoczył z konia i rzucił uzdę jednemu Apaczowi, który przyjął ją z uszanowaniem. Wtedy wódz ruszył prosto w stronę wysepki. Dotarłszy do brzegu naprzeciw niej, jak się wydawało, zaczął szukać śladów na piasku.

Serce Bois Roségo biło gwałtownie w piersi, gdyż ten postępek Indianina zdradzał pewne podejrzenie co do ich usytuowania.

– Miałby ten pies węszyć ludzkie ciało jak ogr¹ z naszych bajek? – zapytał cichym głosem Pepego.

¹ Ogr (oger) – ludożerczy olbrzym ze średniowiecznych podań ludowych.

– *Quien sabe?*¹ – odparł Hiszpan słowami, które w jego kraju są odpowiedzią na wszystko.

Ale piasek tysiące razy zorany kopytami dzikich koni pojących się w rzece nie ukazał oczom Indianina żadnego śladu ludzkiego. Wtedy udał się w górę rzeki, ciągle szukając.

– Diabeł ma jakieś podejrzenia – rzekł Bois Rosé – a w takim razie natrafi na ślady, które pozostawiliśmy pół mili stąd, kiedy weszliśmy do koryta rzeki, chcąc się dostać do tej kępy. Mówiłem ci, Pepe – dodał Kanadyjczyk z pewnego rodzaju goryczą – że trzeba było wejść do rzeki dwie mile dalej, ale ani ty, ani Fabian nie chcieliście mnie słuchać, a ja jak głupiec wam ustąpiłem.

Dzielny Kanadyjczyk, wypowiadając te słowa, uderzał się w piersi z siłą zdolną zniszczyć korpus zwyczajnego człowieka.

Tymczasem narada dotycząca losu jeńca bez wątpienia musiała się skończyć, gdyż nagle po propozycji jednego z Indian wybuchły okrzyki radości. Trzeba było jednak poczekać na powrót i przyzwolenie wodza. Był to wojownik znany nam już pod imieniem Czarnego Ptaka.

Ten ostatni kontynuował swoje poszukiwania nad brzegiem, idąc w górę rzeki. Po przybyciu do miejsca, w którym Bois Rosé i jego towarzysze opuścili piasek, by wejść do rzeki i dotrzeć na wyspę mającą służyć im za schronienie, nie wątpił już, że raport zwiadowców był prawdziwy, i postanowił z tego skorzystać. Uprawiał swoją politykę i zamierzał zgodnie z nią postępować.

Upewniwszy się w kwestii obecności trzech białych wojowników, Czarny Ptak wrócił miarowym krokiem do swego oddziału. Z powagą wysłuchał wyniku obrad Indian, odpowiedział kilka słów i dał znak wojownikom, aby czekali. Następnie ciągle miarowym krokiem podszedł do brzegu rzeki, wcześniej wydawszy po cichu rozkaz pięciu jeźdźcom, którzy ruszyli galopem, by go wykonać.

Rośliny wodne zieleniły się w słońcu. Powiew poruszał drżącymi liśćmi wikliny na brzegach wysepki tak pozornie niezamieszkałej,

¹ *Quien sabe?* (hiszp.) – kto wie?

jak w czasach, kiedy rzeka płynęła tylko dla ptaków, bizonów i dzikich koni. Tylko Indianin nie dał się zwieść tym pozornym spokojem.

Czarny Ptak zrobił z rąk tubę i krzyknął w języku na wpół indiańskim, na wpół hiszpańskim:

– Biali wojownicy z północy mogą się pokazać, Czarny Ptak jest ich przyjacielem, podobnie jak dowodzeni przez niego wojownicy.

Po tych słowach, które wiatr przyniósł do uszu Bois Roségo i jego dwóch towarzyszy, Kanadyjczyk ścisnął silnie ramię Hiszpana. Bois Rosé i Pepe rozumieli mieszane narzeczce Indianina.

– Co odpowiemy temu psu? – zapytał.

– Nic! – odpowiedział krótko Pepe.

Wiatr szemrzący pośród trzciny rzeki był faktycznie jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał indiański wódz.

Czarny Ptak mówił dalej:

– Orzeł może ukryć swój ślad w powietrzu przed okiem Apacza, łosoś, który płynie w górę katarakt, nie pozostawia za sobą bruzdy, ale biały przemierzający pustynię nie jest ani orłem, ani łososiem.

– Ani też głupią gęsią – mruknął Pepe Śpioch – a jedynie gaska mogłaby się zdradzić, próbując zaśpiewać.

Indianin znów się przysłuchiwał, ale odpowiedź Hiszpana do niego nie doszła.

– Białych wojowników z północy jest tylko trzech – mówił dalej Czarny Ptak, nie zniechęcając się i akcentując dobitnie ostatnie słowo, aby słuchający go zrozumieli, że zna dokładnie ich liczbę i pozycję. – Tak, jest ich tylko trzech przeciw dwudziestu, a czerwoni wojownicy obowiązują być dla nich przyjaciółmi i sprzymierzeńcami.

– Ach, do jakiej podłości Indianin nas potrzebuje? – odezwał się cicho do Pepego Kanadyjczyk.

– Pozwólmy mu skończyć, a wkrótce się tego dowiemy – odparł Pepe – bo chyba jeszcze ma coś do powiedzenia.

– Kiedy biali wojownicy dowiedzą się o zamiarach Czarnego Ptaka, to wyjdą ze swego ukrycia – ciągnął wódz Apaczów. – Otóż rzecz ma się tak: biali ludzie z północy są nieprzyjaciółmi ludzi z południa, ich język i ich Bóg nie są jednakie. Apacze trzymają w swych szponach cały obóz wojowników z południa.

– Poszukiwacze złota przeżyją ciężkie chwile – stwierdził cicho Bois Rosé.

– Jeżeli wojownicy z północy zechcą połączyć swoje długie strzelby z gwintowanymi lufami ze strzelbami Indian, to się podzielią z nimi skalpami, skarbami i końmi ludzi z południa, a Indianie i biali będą tańczyć około trupów swoich nieprzyjaciół i popiołów ich obozowiska.

Bois Rosé i Pepe spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Fabian dzięki ich tłumaczeniu zrozumiał także, że proponowano im sojusz, który ich sumienie potępiał, a błyskawice w ich oczach i pogardliwe nadęcie ich nozdrzy świadczyły o tym, że szlachetna trójka miała jedno zdanie w tym temacie, to znaczy raczej zginąć, niż pomóc Indianom zatriumfować nawet nad swoimi śmiertelnymi wrogami.

– Czy słyszycie niewiernego? – zapytał Bois Rosé, zdjęty oburzeniem, używając przerośniętych właściwych dla indiańskiego narzecza. – Bierze jaguary za szakale. Ach, gdyby nie było tu Fabiana – dokończył cicho – posłańcem mojej odpowiedzi byłby pocisk z dobrze nagwintowanej lufy.

Pomimo tego Indianin nie tracił pewności o bytności myśliwych na kępie, niemniej zaczął tracić cierpliwość, bowiem rozkazy rady wodzów były nieodwołalne. Według nich miano napaść na białych, ale wiadomo nam, że indiański dyplomata miał swoją własną politykę, przy pomocy której chciał zatriumfować. Wiedział, że kula Amerykanki lub Kanadyjczyka nigdy nie chybia celu i bez względu na liczbę Meksykanów, trzech sprzymierzeńców z północy nie było do pogardzenia. Usiłował zatem zjednać ich i przekonać do swej sprawy.

– Trop preriowego bizona – dodał – nie jest łatwiejszy do wysłędzenia niż ślad białego. Trop bizona wskazuje Indianinowi na jego wiek, tuszę lub chudość, cel jego biegu, a nawet na to, jak dawno przechodził. Za trzcinią pływającej kępy ukrywa się zatem człowiek silny jak bizon i wyższy od najdłuższej strzelby. Jest z nim wojownik z mieszanej rasy południowej i północnej oraz młody wojownik z czystej rasy południowej, ale sprzymierzenie tych dwóch ostatnich z pierwszym wskazuje, że są nieprzyjaciółmi białych z południa, ponieważ słabsi szukają przyjaźni z silniejszymi i opowiadają się po ich stronie.

– Bystrość tych psów jest godna podziwu – powiedział do Pepegos Bois Rosé.

– Tak ich oceniasz, gdyż ci schlebiają – odparł były mikelet, którego własna miłość była nieco sflamszona.

– Czekam na odpowiedź białych – mówił dalej Czarny Ptak i słuchał. – Słyszę tylko szmer wody oraz wiatr, który mi za nich odpowiada. Biali wyobrażają sobie tysiączne urojenia. Sądzą, że Indianin ma oczy w tyle głowy, że ślad bizona jest niewidoczny, że trzciny oprą się kuli. Czarny Ptak śmieje się z odpowiedzi wiatru.

– W samą porę! – rzekł Pepe. – Indianin przemawia swym prawdziwym językiem. Nie brzydzi się szukaniem sprzymierzeńców takich jak my.

– Ach, gdybyśmy weszli do rzeki dwie ligi dalej! – odezwał się żałośnie Kanadyjczyk.

– Wzgardzony przyjaciel może się stać groźnym wrogiem – odrzekł sentencjonalnie Indianin.

– U nas coś podobnego mówimy bliźniemu – dodał cichym głosem Pepe:

*Ni pastel recalentado
Ni amigo reconciliado*¹.

W tym samym czasie Czarny Ptak dał znak jeńcowi, aby do niego podszedł. Ten to uczynił, a wódz wskazał mu palcem na wysepkę i na odstęp pomiędzy dwiema kępami trzciny.

– Czy karabin bladej twarzy – zaczął i nie było to u Indianina porównanie do trupiej błości oblicza nieszczęśnika, ale zwykłe oznaczenie barwy skóry białych – potrafi wystrzelić kulę w wolną przestrzeń między tymi wysokimi roślinami?

Jeniec niewiele jednak zrozumiał z mieszanego hiszpańsko-indiańskiego narzecza i stał oniemiały oraz drżący. Wtedy Czarny Ptak powiedział kilka słów do jednego ze swoich wojowników, który podał

¹ *Ni pastel recalentado, ni amigo reconciliado* (hiszp.) – ani odgrzana litość, ani pojednany przyjaciel.

białemu jego wcześniej mu odebraną strzelbę, a następnie znakami dał mu znać, czego od niego chce. Nieszczęsny poszukiwacz złota wymierzył, ale trwoga wstrząsała jego kończynami, strzelba chwiała się w jego ręku z prawa na lewo i z dołu do góry.

– Biedny chłopiec, nie dosięgnie nawet do kępy – rzekł beztro-sko Pepe – i jeśli Indianin nie ma innego sposobu, by zmusić nas do mówienia, to niech mnie diabeł porwie, jeżeli do jutra wymówię choć słowo.

Biały dał ognia i w istocie kula wylatująca z lufy źle kierowanej drżącymi rękoma, gwiżdżąc, wpadła w wodę o kilka cali od wyspy.

Czarny Ptak wykonał gest pogardy, po czym odwrócił się i rozej-rzał dookoła.

– Tak – odezwał się Pepe – szukaj prochu i kul pomiędzy włócz-niami i *lazos* twoich wojowników.

Kiedy były mikiety kończył tę pocieszającą uwagę, pięciu jeźdź-ców, którzy oddalili się na rozkaz indiańskiego wodza, powracało na ponownie osiodłanych koniach. Byli uzbrojeni w strzelby i kołczany napełnione strzałami. Jak widać, udali się po broń, którą odłożyli, aby móc swobodniej polować na dzikie konie. Po tym oddaliło się kolejnych pięciu wojowników.

– Źle idzie – stwierdził smutno Bois Rosé.

– Gdybyśmy teraz na nich natarli, gdy jest ich tylko piętnastu? – zapytał Pepe.

– Nie – odrzekł Kanadyjczyk – nie odzywajmy się i zachowajmy ciszę, Indianin wciąż powątpiewa, czy tu jesteśmy.

– Jak zechcesz – ciągle spoglądając poprzez łądygi roślin, odpo-wiedział Pepe.

Wódz Indian sam wziął strzelbę do ręki i znowu zbliżył się do brzegu rzeki.

– Ręce Czarnego Ptaka nie drżą jak zwiędła trawa na wietrze – powiedział Indianin, który podniósł strzelbę i trzymał lufę skiero-waną w stronę wysepki, nieruchomy i pewny swoich silnych rąk. – Jednak zanim da ognia – kontynuował – będzie czekał na odpo-wiedź białych ukrytych na kępie, licząc do stu.

– Stań za mną Fabianie – rozkazał Bois Rosé.

– Zostanę tutaj – odpowiedział stanowczo Fabian. – Jestem młodszy, więc to ja powinienem stać przed tobą.

– Dziecko – odparł Kanadyjczyk – czy nie widzisz, że moje ciało ze wszystkich stron przewyższa twoje o sześć cali? Byłoby to zatem głupstwem wystawiać Indianinowi podwójny cel.

Nie trąciwszy ani jednej trzciny z całej zasłony uformowanej wokół kępy, Kanadyjczyk wysunął się do przodu i ukląkł przed Fabianem.

– Pozwól nam działać, don Fabianie – powiedział spokojnie Pepe – nigdy człowiek nie będzie miał szlachetniejszej tarczy niż serce tego olbrzyma, które bije z trwogi jedynie z twojego powodu.

Indianiński wódz ze strzelbą przyłożoną do ramienia słuchał, cały czas licząc, ale oprócz szemrzącej wody zginającej trzciny u jego stóp i szelestu ciepłego wietrzyka nad rzeką, wszędzie, blisko i daleko, panowała głęboka cisza.

Czarny Ptak dał ognia i strzepy strzałek wyleciały w powietrze, ale klęcząc jeden za drugim, trzej myśliwi nie stanowili szerokiego celu, więc świszcząca kula przeleciała od nich w pewnej odległości.

Czarny Ptak czekał przez minutę, po czym znów się odezwał donośnym głosem:

– Indianin się pomylił. Uznaje swój błąd i pójdzie gdzie indziej szukać białych wojowników.

– Uwierz w to i idź napić się wody. Pies jest pewny swego bardziej niż kiedykolwiek – rzekł Pepe. – Kusiciel pozostawi nas w spokoju przez kilka chwil, dopóki nie skończy z tym biedakiem, którego ma w swym ręku, co jednak nie potrwa długo, bo widok męczarni białego jest zawsze pożądany dla Indianina.

– Ale czy nie należałoby zatem – szepnął Fabian – podjąć jakiegoś wysiłku w celu uratowania tego nieszczęśnika, któremu grożą okropne tortury?

Bois Rosé spojrział porozumiewawczo na swego towarzysza, a następnie odpowiedział Fabianowi:

– Nie mówimy nie, ale wciąż mam nadzieję, że jakieś nieoczekiwane wydarzenie przyjdzie nam z pomocą. Cokolwiek by Pepe nie

powiedział, ten Indianin wciąż może wątpić, lecz jeśli się pokażemy, to wtedy zyska pewność.

Starzec przybrał zamyśloną postawę.

– Zawarcie sojuszu z tymi diabłami, nawet przeciw don Estevanowi, byłoby niegodną podłością. Co robić? Co robić?! – zastanawiał się Kanadyjczyk.

Nadal dręczyła go obawa. Widział Fabiana w niebezpieczeństwie, gdy jego krew wrzała pod wpływem namiętności. Ale czy Fabian miał zimną, beznamiętną odwagę, która przeciwstawia się śmierci bez gniewu? Czy posiadał tę stoicką rezygnację, której Hiszpan i on, Bois Rosé, dali tysiącne dowody? Kanadyjczyk podjął nagłą decyzję.

– Słuchaj, Fabianie – powiedział – czy mogę przemówić do ciebie głosem godnym człowieka? Czy słowa, które twoje uszy przekażą twemu sercu, nie będą w stanie go zmrozić?

– Dlaczego wątpisz w moją odwagę? – odpowiedział po prostu Fabian tonem łagodnego wyrzutu. – Cokolwiek mi powiesz, będę słuchał bez zblednięcia, cokolwiek zrobisz, ja także uczynię to bez drżenia.

– Don Fabian ma rację, Pepe! – odezwał się Kanadyjczyk. – Zobacz, jak jego oko dumnie zaprzecza skromności jego mowy.

W uniesieniu swej radości przytulił do siebie Fabiana, po czym uroczyście dodał:

– Nigdy trzech ludzi nie znajdowało się w większym niebezpieczeństwie niż to, które nam zagraża. Nasi nieprzyjaciele są siedem razy liczniejsi od nas. Gdy każdy z nas zabije sześciu wojowników, pozostaną jeszcze w liczbie równającej się naszej.

– Już tego kiedyś dokonaliśmy – przerwał mu Pepe.

– Zatem zrobmy to jeszcze raz – zawołał Fabian.

– Dobrze, dziecko, dobrze – odrzekł Bois Rosé – ale cokolwiek się stanie, te diabły nie mogą nas wziąć żywcem. Otóż, Fabianie – dodał starzec głosem, któremu chciał nadać większą stanowczość, wydobywając długi i szeroki nóż z rogową rękojeścią – gdyby zabrakło nam prochu oraz kul i zostalibyśmy na łasce tych psów, gotowi wpaść w ich łapy, i gdyby ten sztylet w mej ręce był jedynym sposobem wybawienia, co byś na to powiedział?

– Powiedziałbym ci: „Uderzaj, mój ojczu, i umrzyjmy razem”.

– Tak, tak! – zawołał Kanadyjczyk, obrzucając spojrzeniem niewypowiedzianego przywiązania tego, który nazwał go swym ojczem. – I to będzie jeszcze środek, byśmy się z sobą nie rozłączyli.

Wyciągnął rękę drżącą ze wzruszenia do Fabiana, który z szacunkiem ucałował tę herkulesową dłoń.

Wzrok Kanadyjczyka błyszczał dumną przychylnością.

– Teraz – powiedział – cokolwiek się stanie, więcej się nie rozdzielajmy. Zdajmy się na Boga i spróbujmy ocalić tego nieszczęśnika.

– Zatem do dzieła! – zawołał Fabian.

– Jeszcze nie, jeszcze nie, moje dziecko. Zobaczmy najpierw, co te czerwone diabły będą robić ze swym jeńcem.

Podczas tego całego dialogu Indianie przyprowadzili jeńca, pozostawiając mu swobodę poruszania się. Uformowali się w prostej linii w odległości podwójnego zasięgu strzału karabinowego od brzegu. Biały stał przed swoimi katami.

– Widzę, co zamierzają zrobić – rzekł Bois Rosé. – Tak jakbym uczestniczył w ich naradzie. Chcą sprawdzić, czy ten nieszczęśnik jest silniejszy w nogach niż w rękach. Te diabły chcą się zabawić w polowanie połączone ze ściganiem ofiary.

– Co masz na myśli? – zapytał Fabian.

– Pozwolą jeńcowi się wyprzedzić, po czym na dany sygnał każą mu uciekać. Wtedy Indianie ruszą za nim w pogoń z włóczniami lub maczugami w rękę. Jeżeli biały ma silne i zwinne nogi, dostanie się przed nimi do rzeki, a wtedy krzykniemy do niego, aby przybył do nas wpław. Kilka wystrzałów z naszych karabinów powinno go ochronić, a on bezpiecznie dotrze do wysepki. Reszta będzie zależała od nas. Jeśli jednak prerażenie sparaliżuje mu nogi, jak wcześniej wywołało drżenie jego ręki, pierwszy Indianin, który go doścignie, roztrzaska mu czaszkę siekierą albo przebije włócznią. W każdym razie będziemy się starać zrobić to, co w naszej mocy.

W tej chwili pięciu Indian, którzy się oddalili, wróciło uzbrojonych od stóp go głowy, tak jak ich poprzednicy. Nowi przybysze złączyli się z pierwszymi.



Była to straszliwa chwila, gdyż miały się rozpocząć łowy na człowieka.

Fabian, silnie ściskając lufę swej strzelby, spojrzął z głębokim współczuciem na nieszczęsnego białego, który z błędnym wzrokiem, ze zmienionymi przez trwogę rysami twarzy, oczekiwał w okropnym udręczeniu na znak indiańskiego wodza. Była to straszliwa chwila, gdyż miały się rozpocząć łowy na człowieka.

Na wysepce, podobnie jak na równinie, wszyscy czekali na tę chwilę z głębokim niepokojem, gdy Czarny Ptak dał znak ręką, by powstrzymać na chwilę rozpoczęcie tego okropnego polowania. Ten znak był łatwy do zrozumienia, bowiem palcem wskazał na bose nogi swych wojowników, po czym na buty wykonane ze skóry z Kordoby¹, ochraniające nogi białego.

Wtedy ujrano zakładnika, jak siada na piasku i zdejmuje buty z wahaniem, jakby chciał zyskać kilka sekund.

– Psy! Diabły! – wykrzyknął Fabian.

Ale Bois Rosé położył mu dłoń na ustach.

– Milcz – rzekł – i odkrywając się zbyt wcześnie, nie pozbawiaj ostatniej szansy na życie, jaka pozostaje temu nieszczęśnikowi pod ochroną naszych strzelb.

Fabian zrozumiał i zamknął oczy, nie chcąc widzieć okropnej sceny, która miała się przed nim rozegrać.

W końcu biały znowu powstał, a Indianie, gotowi do pogoni, póżerali go wzrokiem. Czarny Ptak klasnął w dłonie.

Wycie, które nastąpiło po tym sygnale, można było porównać jedynie do ryków sfory jaguarów ścigających stado jeleni. Nieszczęsny jeniec wydawał się obdarzony nogami jelenia, ale ci, którzy go ścigali, wydawali się sadzić takie susy, jak tygrysy na polowaniu.

Dzięki temu, że wcześniej go wypuszczono, jeniec pokonał szczęśliwie część odległości dzielącej go od brzegu rzeki, ale kamyki kaleczące jego stopy, ostre końce nopali, które się w nie wbijały, sprawiły, że wkrótce zaczął utykać. Pomimo tego nadal był przed Indianami, gdy jeden z nich, przyskoczywszy bliżej, zadał mu wściekle pchnięcie

¹ *Kordoba* (Kordowa) – miasto w południowej Hiszpanii, nad rzeką Gwadalkiwir, stolica prowincji Kordoba, w regionie Andaluzja; ośrodek przemysłowy, naukowy oraz turystyczny o znaczeniu światowym.

włócznią. Ostrze przeszło pomiędzy ciałem a ramieniem ofiary, a Indianin z powodu siły włożonej w to pchnięcie stracił równowagę i upadł na piasek.

Gayferos – pamiętamy, że tak nazywał się ten człowiek – zdawał się przez chwilę wahać, czy ma podnieść włócznię, która wypadła z rąk Indianina przy upadku, po czym instynkt samozachowawczy nakłonił go do dalszej ucieczki. To wahanie było dla niego zgubne.

Trzej myśliwi z karabinami w rękę niespokojnym wzrokiem śledzili różne fazy tej walki jednego przeciw dwudziestu nieprzyjaciołom. Wtem pośród chmury pyłu wznoszącego się za tym rozpaczliwym uciekającym zabłysnął tomahawk nad głową nieszczęsnego Gayferosa, który z kolei rzucił się na ziemię i w swym podskoku prawie dotarł do brzegu rzeki.

Kanadyjczyk miał dać ognia, ale obawa, aby nie zabił tego, którego chciał obronić, powstrzymała palec na spuście. Przez chwilkę, przez jedną chwilkę wiatr otworzył przestwór pośród tumanu kurzawy. Bois Rosé wypalił, ale za późno. Indianin powalony kulą myśliwego, wywijał skrwawionym skalpem nieszczęsnego jeńca, który leżał okaleczony na brzegu.

Po tym niespodzianym strzale, po którym nastąpił okrzyk wojenny wydany zarówno przez Kanadyjczyka, jak i Hiszpana, odpowiedziały mu chórem wycia Indian. Apacze odsunęli się od człowieka, który wydawał się już trupem. Wkrótce jednak ten rzekomy trup podniósł się z gołą czaszką, rzucił się parę kroków naprzód i znowu upadł, wyczerpany i oślepiiony spływającą strugami krwią.


Kanadyjski myśliwy zadrżał z oburzenia.

– Ach! – zawołał. – Jeżeli jest w nim iskierka życia, jeżeli jest tylko oskalpowany, bo od tego się nie umiera, jeszcze go ocalimy! Bóg mi jest świadkiem.



Rozdział XXXI

Indiańskie podstępny

dy Kanadyjczyk kończył szlachetną przysięgę, którą w nim wywołało oburzenie, wydawało mu się, że dochodzi do niego błagający głos.

– Czyżby ten nieszczęśnik wzywał pomocy? – zapytał sam siebie i po raz pierwszy uniósł głowę nad pasmo trzciny.

Na widok lisiej czapki okrywającej głowę olbrzyma i długiej oraz ciężkiej strzelby, którą jego ręka wydawała się unosić jak gałązkę wierzy, Apacze rozpoznali jednego z tych strasznych wrogów z Północy, a wszyscy cofnęli się, zdumieni tym niespodziewanym pojawieniem się białego. Nie należy zapominać, że z wyjątkiem Czarnego Ptaka żaden z indiańskich wojowników nie znał wyglądu myśliwego. Ten zaś zmierzył twardym spojrzeniem brzeg, na którym leżał Gayferos, a za którym stali Apacze. Spozrzegł oskalpowanego nieszczęśnika, osłabionym głosem wzywającego pomocy i wyciągającego ku niemu swoje drżące ręce.

Indianin, który go oskalpował, nadal trzymał w swoich skurczonych palcach czuprynę białego wojownika.

Na ten okropny widok Kanadyjczyk wstał i ukazał swój olbrzymi korpus w całej okazałości.

– Należy utrzymywać ciągły ogień przeciw tym psom – powiedział – i pamiętajcie, że nie mogą wziąć nas żywymi.

Mówiąc te słowa, Bois Rosé śmiało wszedł do wody. Każdy inny zanurzyłby się aż po głowę, ale Kanadyjcykowi sięgała zaledwie do ramion. Jego strzelba utrzymywała wrogów w ryzach.

– Strzelaj dopiero po mnie – odezwał się Pepe do Fabiana. – Mam pewniejszą rękę od twojej i moja strzelba z Kentucky ma dwa razy

taki zasięg niż twój karabin z Liège¹, ale w każdym razie postępuj tak jak ja i miej broń w pogotowiu. Jeżeli któryś z tych psów się ruszy, mnie pozostaw staranie o to, bym mu przeszkodził, gdyby chciał cię skrzywdzić.

Hiszpan ogarniał błyszczącym wzrokiem stojących z daleka nieprzyjaciół i lufą swej strzelby groził po kolei każdemu z Apaczów, gotowy strzelić po najmniejszej oznace wrogości z ich strony.

W tym czasie Kanadyjczyk ciągle parł do przodu, woda wokół niego ciągle się obniżała, gdy wtem jeden Indianin podniósł swoją strzelbę, chcąc dać ognia do nieustraszonego myśliwego. Uprzedził go strzał i Indianin upuścił swoją broń na piasek, a sam padł na twarz.

– Teraz kolej na ciebie, Fabianie – rzekł Pepe, kładąc się plecami na ziemi, by ponownie nabić strzelbę, jak to jest w podobnym przypadku w zwyczaju Amerykanów.

Teraz z kolei Fabian pociągnął za spust, ale jego strzał był mniej celny, a donośność mniejsza, więc chociaż Indianin, do którego wymierzył, wydał okrzyk wściekłości, nie padł on na ziemię. Kilka strzał świsnęło około Kanadyjczyka, ale Bois Rosé z niezrównaną zimną krwią schylał się lub odrzucał je ręką i w chwili, gdy stanął na lądzie, Pepe nabił swoją broń i był gotowy powtórnie dać ognia. Pomiędzy Indianami nastąpiła chwila wahania, z której skorzystał łowca, by zabrać ciała Gayferosa.

Nieszczęśnik, wzięty na jego barki, zachował tyle przytomności umysłu, że pozostawił swobodę ruchów ramionom swego wybawcy, a Kanadyjczyk, obarczony swoim ciężarem, znowu wszedł do wody, ale tym razem szedł już tyłem. Tylko jeden raz znowu odezwała się broń Bois Roségo i jeden Indianin odpowiedział na wystrzał okrzykiem konania. W końcu ten odwrót lwa, wspierany ogniem Fabiana i Pepego, zastopował ich nieprzyjaciół, a kilka chwil później zwycięski Bois Rosé złożył na wysepce prawie nieprzytomnego, biednego Gayferosa.

¹ *Liège* – miasto we wschodniej Belgii, nad Mozą, w pobliżu granicy z Holandią i Niemcami; największy ośrodek francuskiego obszaru językowego w Belgii; stolica prowincji o tej samej nazwie; od średniowiecza znany ośrodek rusznikarski.

– Mamy już trzech niezdolnych do walki – stwierdził olbrzym. – Przez kilka minut będziemy mogli odetchnąć. I co, Fabianie? Widzisz zalety ognia plutonowego¹? Dranie na kwadrans mają dość. Co do ciebie, jak na początkującego, to bardzo nieźle, i zapewniam cię, że jeśli dostaniesz do ręki strzelbę z Kentucky, to będziesz bardzo dobrym strzelcem!

Chwilowy sukces, który właśnie osiągnął, rozproszył niejako posępne myśli Kanadyjczyka. Zwracając się do Gayferosa wydającego głuche jęki, powiedział:

– Przybyliśmy zbyt późno, by uratować skórę twojej głowy, mój chłopcze, ale pociesz się, nie jest to coś znaczącego. Mam wielu przyjaciół, którzy znajdują się w takiej samej sytuacji jak ty i którzy z tego powodu nie czują się źle. Zaoszczędzisz na fryzjerze i to wszystko. Najważniejsze jest to, że na chwilę twoje życie jest ocalone, a obecnie postaramy się je definitywnie zabezpieczyć.

Kawałki odzieży Gayferosa posłużyły do przytrzymania na jego gołej czaszce grubego kompresu ze zmiażdżonych i solidnie zmoznaczonych wodą liści wierzyby. Po założeniu tego pierwszego opatrunku, zniknął widok ohydnej rany. Następnie obmyto Meksykaninowi twarz całkowicie zalaną krwią.

– Widzisz, musisz przyzwyczać się do praw pustkowi i indiańskich obyczajów – odezwał się Kanadyjczyk, ciągle hołubiący myśl zatrzymania Fabiana przy sobie. – Łotrzy, którzy przekonali się kosztem straty trzech swoich, jakim drzewem palimy w ognisku, wycofali się, by jakimś podstępem spróbować zrobić to, czego nie udało się im siłą. Zobacz, jak po takiej wrzawie wszystko pogrążone jest w ciszy.

Istotnie, pustynia odzyskała swój posępny spokój. Liście osik szemrały, poruszane wieczornym powiewem, a pod zniżającym się słońcem wody rzeki barwiły się żywszymi odcieniami. Dalej, poza widnokregiem zasłanianym przez drzewa, równina tak przed chwi-

¹ *Ogień plutonowy* – rodzaj prowadzenia ognia przez pułk, zastosowany po raz pierwszy przez wojska angielskie na początku XVIII wieku; pułk dzielono na trzy grupy po 18 plutonów; każda z tych grup po kolei prowadziła ostrzał.

łą hałaśliwa, nie była niczym innym, jak tylko płachtą piasku, na której nic nie zakłócało milczenia samotności.

– No i co o tym myślisz, Pepe? Jest ich tylko siedemnastu – dodał tonem dobrodusznego triumfu Kanadyjczyk.

– Gdyby ich było tylko siedemnastu – odrzekł Pepe – to do licha, nie przeczę, że moglibyśmy ich pokonać, ale jeśli zdobędą posiłki...

– Jest to wprawdzie przypuszczenie, okropne przypuszczenie, ale nasze życie jest w rękach Boga – powiedział Bois Rosé, wracając do swych obaw o bezpieczeństwo Fabiana. – Ale powiedz, mój przyjacielu – dodał, zwracając się do Gayferosa – jesteś zapewne z obozu don Estevana?

– Więc go znasz? – zapytał słabym głosem ranny.

– Oczywiście. Z powodu jakiej przygody znalazłeś się tak daleko od swojego obozu?

Ranny opowiedział, w jaki sposób na rozkaz don Estevana wyruszył na poszukiwania zagubionego przewodnika i jak sam, zabłądziwszy, z powodu swej złej gwiazdy, dostrzeżony został przez Indian zajętych polowaniem na dzikie konie.

– Jak się nazywa ten przewodnik? – spytał Fabian.

– Cuchillo.

Fabian spojrzał znacząco na Bois Roségo.

– Tak – rzekł myśliwy – istnieje pewne prawdopodobieństwo, że twoje podejrzenia względem tego łotra o białej skórze nie są pozbawione podstaw i że prowadzi on wyprawę do Złotej Doliny. Moje dziecko, jeżeli jednak uda się nam ujść tym szelmom Indianom, to czy nie będziemy blisko ludzi don Estevana? Wtedy, choćby ich było nawet stu, poradzimy sobie.

To było powiedziane szeptem do ucha Fabiana.

– Jeszcze jedno pytanie – rzekł Kanadyjczyk do rannego – a potem będziesz sobie mógł odpoczywać. Ilu ludzi ma z sobą don Estevan?

– Blisko sześćdziesięciu – odpowiedział Gayferos.

Po wysłuchaniu tych wyjaśnień Kanadyjczyk po raz drugi odświeżył zaognioną czaszkę rannego, skrapiając świeżą wodą bandażę, a nieszczęśliwy człowiek, czując chwilową ulgę, a przy tym osłabiony emocjami i utratą krwi, wpadł prawie w letarg.

– Teraz pomyślmy o nas samych – powiedział Kanadyjczyk – i postaramy się zbudować bardziej mocny szaniec, będący odporny na kule i strzały, niż ten ruchomy płot złożony z liści i trzcin. Czy policzyłeś, ile strzelb było w rękach tych Indian?

– Siedem, jeżeli się nie mylę – odparł były mikelet.

– Zatem dziesięciu jest mniej groźnych dla nas. Otóż łotry nie mogą na nas nacierać na tej tratwie ani z prawej, ani z lewej, jeśli pa-trzymy na nurt rzeki. Należy przewidywać napad tylko z obu brzegów, gdyż być może przepawili się przez rzekę i zechcą wziąć nas w dwa ognie.

Strona wysepki znajdująca się naprzeciw brzegu, gdzie pojawili się Indianie, była wystarczająco broniona przez olbrzymie korzenie najeżone jak kolczaste zasieki albo pale oszańcowania. Tymczasem strona, od której prawdopodobnie miał się rozpocząć atak, osłonięta była jedynie gęstym pasmem trzcin i wiklinowych pędów.

Dzięki nadzwyczajnej sile swych ramion Kanadyjczyk, wspomagany przez Pepego, zdołał wyrwać na dwóch krańcach kępy wchodzących w nurt rzeki, kilka uschłych gałęzi i niedawno przyniesionych pni drzew. W kilka minut ci dwaj zręczni myśliwi potrafili zabezpieczyć najsłabszą i najbardziej zagrożoną stronę topornym, ale mocnym oszańcowaniem, mogącym ochronić obrońców wysepki przed niejednym śmiertelnym pociskiem.

– Jak widzisz, Fabianie – powiedział Bois Rosé – za tymi pniami będziesz tak samo bezpieczny, jak w kamiennej fortecy. Będziesz tylko wystawiony na kule wystrzelone z wysokości nadbrzeżnych drzew, ale postaram się o to, aby żaden z tych wcielonych diabłów nie dostał się na ich szczyt.

Kanadyjczyk zatarł ręce. Był zadowolony, że wzniosł dostateczną zaporę pomiędzy Fabianem a śmiercią i wyznaczył mu stanowisko za najlepiej umocnionym miejscem.

– Czy zauważyłeś, że za każdym razem, gdy wrywaliśmy gałęź lub wyciągaliśmy pień drzewa, wysepka drżała w swoich posadach? – zapytał Pepego Bois Rosé.

– Tak – odparł Pepe – można by rzec, że kępa oderwie się od swej bazy i podąży z prądem rzeki.

Tymczasem obaj strzelcy czuli, że zbliża się chwila niebezpieczeństwa i po zakończeniu rozejmu nastąpi długa i śmiertelna walka.

Kanadyjczyk zalecił swoim dwom towarzyszom oszczędzać amunicję. Udzielił Fabianowi kilku instrukcji, jak ma celniej strzelać, uściskał ze wzruszeniem dłoń Hiszpana, który w milczeniu oddał mu uścisk, po czym z troską i czułością przycisnął Fabiana do serca. Po oddaniu tego hołdu ludzkiej słabości, trzej obrońcy wysepki ustawili się w milczeniu na swoich stanowiskach z takim stoicyzmem, że dorównywali w tym Indianom.

Upłynęło kilka chwil, kiedy tłumiony oddech rannego i plusk wody o kępę były jedynymi dźwiękami zakłócającymi głęboką ciszę przyrody w godzinie, w której miało zniknąć słońce.

Powierzchnia rzeki, wierzchołki osik rosnących nad rzeką, same brzegi i ich zarośla, nic nie uchodziło uważnej obserwacji myśliwych w chwili, gdy noc zapadała wraz ze swym orszakiem różnych zasadzek.

– Oto godzina, w której szatani ciemności złączą zastawiać pułapki – rzekł poważnie Bois Rosé – godzina, w której ludzkie jaguary krążą w poszukiwaniu swojej ofiary. To o nich zapewne mówi pismo święte.

Nikt nie odpowiedział na to zdanie Kanadyjczyka, będące raczej głośnym wyrażeniem myśli niż ostrzeżeniem, by się mieć na baczności.

Tymczasem stopniowo zapadał zmrok. Krzaki rosnące nad brzegiem zaczynały przybierać fantastyczne kształty, jakie nadaje przedmiotom w terenie niepewne światło zmierzchu.

Zieleń drzew „zamarzła” w czarnych odcieniach, ale wyrobiony nawyk nadał obu myśliwym, Kanadyjczykowi i Hiszpanowi, przenikliwy wzrok samych Indian i nic, przy zachowaniu czujności, nie zdołało omamić ich wyćwiczonych zmysłów.

– Pepe – odezwał się znowu myśliwy cichym głosem, jakby już zagrażało im spodziewane niebezpieczeństwo – czy nie wydaje ci się, że ten krzak zmienił kształt i się rozszerzył?

Przez trzciny wskazał palcem kępę wiklin.

– Zgadza się – odparł Hiszpan – ten krzak zmienił swój kształt.

– Popatrz, Fabianie – mówił dalej kanadyjski łowca – ty, który masz wzrok przenikliwy, tak jak ja miałem w twoim wieku, czy nie wydaje się ci, że z lewej strony, na samym końcu, w tej kępie wiklin liście nie wznoszą się już tak jak te karmione sokiem korzeni?

Młodzieniec delikatnie rozchylił trzciny i uważnie przyglądał się punktowi wskazanemu przez Bois Roségo.

– Przysiągłbym – rzekł – ale...

Zamilkł, starając się spojrzeć nieco dalej.

– I co? Czy widzisz coś więcej? Tak czy nie? – zapytał Kanadyjczyk.

– Widzę tam – odrzekł Fabian – pomiędzy tą wierzbą a osiką, dziesięć kroków od kępy wikliny, krzak, którego przed godziną tam nie było.

– Ach! Oto, co daje życia z dala od miast. Najmniejsze zmiany w krajobrazie zapisują się w pamięci i stają się cennymi wskazówkami. Urodziłeś się, Fabianie, do życia myśliwskiego.

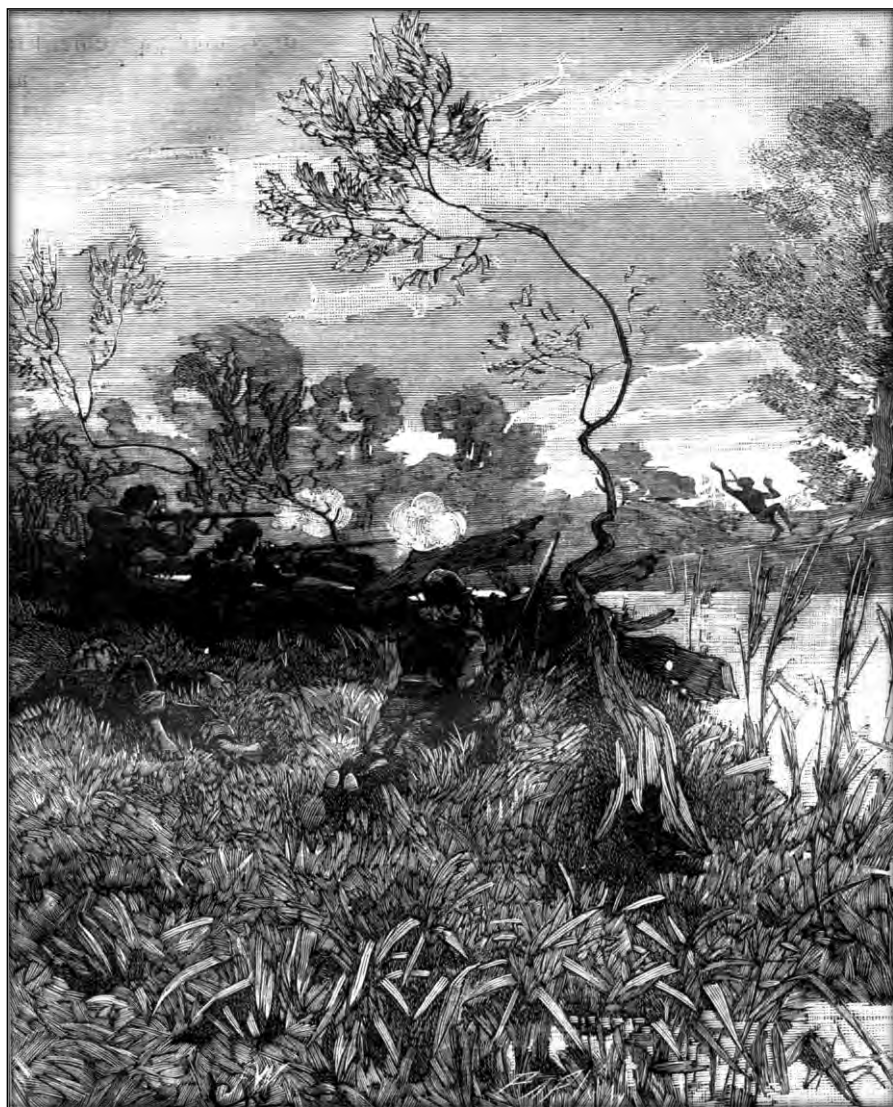
Pepe podniósł strzelbę w kierunku wskazanego krzaka.

– Pepe rozumie w pół słowa – stwierdził Bois Rosé. – Podobnie jak ja wie, że Indianie zużyli ten czas na ścinanie gałęzi. Porobili przeñośne zasłony, ale tak naprawdę nie należy zbyt pogardzać białymi, z których dwóch mogłoby ich nauczyć podstępów, jakich jeszcze nie znają. Pozostaw ten krzak Fabianowi – rzekł Kanadyjczyk do Pepego. – Będzie to dla niego łatwiejszy cel, natomiast ty strzelaj do gałęzi, których liście zaczynają więdnąć. Za nimi kryje się Indianin. Do środka, do środka, Fabianie – dokończył żywo.

Z wysepki jednocześnie padły dwa strzały, tworząc jeden odgłos. Sztuczny krzak potoczył się, ale dwaj myśliwi wzrokiem zdołali dostrzec czerwone ciało tarzające się za liśćmi, a gałęzie uczezione drugiego pęku wiklin wstrząsały się konwulsyjnie.

Pepe, Fabian i Bois Rosé rzucili się na plecy, dwaj pierwsi nabijając ponownie broń, a trzeci gotów do dania ognia z własnej strzelby.

Fala wystrzelonych pocisków roztrąciła nad głowami strzelców liście i mniejsze gałązki, pokrywając ich swymi szczątkami, a jed-



Z wysepki jednocześnie padły dwa strzały, tworząc jeden odgłos.

nocześnie okrzyk wojenny zaskoczonych Indian rozdarł boleśnie ich uszy.

– Jeżeli się nie mylę, to jest ich tylko piętnastu – odezwał się Kanadyjczyk, łamiąc na pięć części suchą gałązkę i wbijając jej kawałki w ziemię. – Dobrze jest liczyć ich nieboszczyków.

Bois Rosé zmienił swoje poziome położenie, by przykleknąć. Słońce rzucało swoje ostatnie odblaski na wierzchołki drzew.

– Baczość, dzieci! – powiedział. – Widzę trzęsące się liście osiki i jestem pewny, że to nie wiatr jest tego przyczyną. Bez wątplenia jeden z tych łotrów wspina się albo też dostał się do wierzchołka.

Kula, która przedziurawiła jeden z pni budujących kępę, potwierdziła trafność domysłu myśliwego.

– Do diabła! Musimy użyć fortelu i zmusić Indianina, by się nam pokazał.

Powiedziawszy to, zdjął czapkę z głowy i kurtkę okrywającą mu ramiona i wysunął je wyraźnie przez odstęp między gałęziami. Fabian z uwagą przypatrywał się temu, co robi.

– Gdybym miał przed sobą białego żołnierza – rzekł Bois Rosé – położyłbym się obok mojej kurtki, ponieważ żołnierz strzelałby do niej, ale przeciw Indianinowi położę się za nią, gdyż czerwono-skóry wojownik nie da się zwieść tym fortem i strzeli obok mojej odzieży. Połóż się, Fabianie, i ty także, Pepe, pozwólcie mi działać. Za chwilę usłyszycie świst kuli po prawej lub po lewej stronie celu, który im pokazuję.

Kanadyjczyk znów ukląkł za swoją kurtką, gotowy wystrzelić w stronę osiki. Nie pomylił się w swoich przypuszczeniach. W krótszym czasie niż zapowiedział, indiańskie kule ścięły liście z obu stron kurtki i czapki, ale nie dosięgły Kanadyjczyka, podobnie jak jego towarzyszy, którzy odsunęli się na prawo i na lewo.

– Ach! – zawołał Kanadyjczyk. – Są przecież biali, którzy potrafią pokonać Indian ich własną bronią. Wbij jeden kawałek drewna w ziemię, Fabianie, będziemy mieli jednego wroga mniej.

Strzelec celował do jednego z rozwidleń osiki, gdzie pojawił się czerwony odcień, podobny do każdego innego oka niż jego do jesien-

nych liści, i jeszcze wciąż dudnił odgłos wystrzału, gdy Indianin staczał się z gałęzi na gałąź, jak owoc zerwany gradem z łodygi.

Po tym tak zręcznym strzale Kanadyjczyka dzikie ryki rozległy się z taką wściekłością, że trzeba było mieć stalowe muskuły, aby nie zadrzeć z trwogi. Nawet ranny, którego nie przebudziły następujące ciągle po sobie wystrzały, ocknął się z chwilowego letargu i szepnął drżącym głosem:

– *Virgen de los Dolores*¹! Czy to nie wygląda jak banda tygrysów wyjących w ciemności? Najświętsza Panienko, zlituj się nade mną!

– Raczej jej podziękuj – przerwał Kanadyjczyk – gdyż łotrzykowie mogliby swoim przeraźliwym wyciem zwiść takiego nowicjusza jak ty, ale nie starego gońca leśnego. Słyszałeś szakale wyjące i odpowiadające sobie wieczorem w lesie, jakby były ich setki, a często są tylko trzy lub cztery. Indianie naśladują szakale i powiedziałbym, że jest ich teraz za drzewami z dwunastu. Ach, gdybym ich mógł skłonić do przeprawienia się przez wodę, żaden z nich nie wróciłby do swej wioski zanieść wiadomość o swej klęsce.

W tej chwili jakby nagła myśl zaświtała w jego głowie. Bois Rosé kazał położyć się swoim towarzyszom na wznak. Pobocza wysepki i pnie drzew dostatecznie ich chroniły, ale tylko wtedy, gdy pozostawali prawie na równym poziomie z ziemią.

– Jesteśmy bezpieczni, dopóki będziemy tak leżeć – mówił dalej. – Chodzi tylko o to, aby mieć oczy zwrócone na wierzchołki drzew, bowiem tylko stamtąd mogą nas dosięgnąć. Strzelajmy tylko wtedy, gdy dostrzeczemy, że będą się wspinać na wierzby, i udawajmy zabitych. Dranie nie zechcą wrócić bez naszych skalpów i zdecydują się do nas przybyć.

Ten pomysł myśliwego, jak mu się wydawało, musiały zainspirować Niebiosa, bowiem zaledwie rozciągnęli się na ziemi, gdy grad kul i strzał zrąbał pasmo trzciny, zdruzgotał gałęzie, za którymi przed chwilą stali, ale pociski wystrzelone poziomo nie były w stanie ich dosięgnąć. Kanadyjczyk nagle zerwał kurtkę i czapkę, jakby sam upadł pod pociskami swoich nieprzyjaciół, a na kępie po tych tak pozornie morderczych wystrzałach zapanowała najgłębsza cisza.

¹ *Virgen de los Dolores* (hiszp.) – Matka Boska Bolesna.

Po tym milczeniu nastąpiły okrzyki zwycięstwa, które znów zostały przerwane przez nowe wystrzały, jednak i tym razem wysepka pozostawała milcząca i ponura jak śmierć.

– Czy to nie jeden z tych psów, który się drapie na tę wierzbę? – zapytał Pepe.

– Tak, ale wytrzymujmy jego ogień bez ruszenia się, tak jakbyśmy byli martwi. Upatruję w tym szansę na ucieczkę. Potem zejdzie i oznajmi swoim towarzyszom, że policzył zwłoki czterech bladych twarzy.

Pomimo niebezpieczeństwa, jakie przedstawiał ten podstęp, propozycja Bois Roségo została przyjęta i wszyscy leżeli bez ruchu na ziemi, jednak nie bez obaw obserwując wszystkie poczynania Indian.

Z nadzwyczajną ostrożnością czerwonoskóry wojownik wspinał się z gałęzi na gałęzi i w końcu dotarł na wysokość niezbędną do panowania nad całą pływającą kępą.

Było jeszcze dość widno, by nie tracić żadnego z ruchów Indianina, kiedy zupełnie nie ukrywały go liście. W końcu, osiągnąwszy pożądaną wysokość, Indianin przysiadł na dużej gałęzi, a następnie ostrożnie wychylił głowę. Widok trupów leżących na terenie wysepki nie zdawał się go zaskakiwać. Być może jednak domyślał się jakiegoś podstępu, gdyż ze śmiałością, którą przykład jednego z jego towarzyszy zabitego na tym samym drzewie nie powinien był zachęcać, Apacz ukazał się całkowicie i wycelował strzelbę w kierunku wyspy. Jego wzrok, podobnie jak węża, wydawał się pragnąć oczarować nieprzyjaciół. Wtem nagle uniósł lufę broni w powietrze, ponownie wycelował, a następnie kilka razy powtórzył ten sam manewr. Myśliwi jednak nawet nie drgnęli, jakby rzeczywiście byli trupami. Wtedy Indianin wydał okrzyk triumfu.

– Rekin połknął haczyk – szepnął Bois Rosé.

– Poznam tego sobaczego syna – odezwał się Pepe – i jeżeli nie odpłacę się mu za cierpienia, jakie mi wyrządził, to chyba tylko dlatego, że powstrzyma mnie kula, którą zamierza posłać.

– To Czarny Ptak – rzekł Bois Rosé. – Jest zarazem mężny i roztropny, jak przystoi na wodza.

Indianin po raz kolejny wycelował lufą strzelby do ciał, które uważał za pozornie pozbawione życia. Wymierzył z takim opanowaniem

jak strzelec sprzeczący się o cenę strzelby na wiejskim jarmarku i wreszcie zdecydował się strzelić. W tej samej chwili o dwie linie¹ od głowy Hiszpana oderwał się odłamek pnia drzewa i zranił go w czoło. Pepe nie ruszył się, podobnie jak uschnięte drzewo, o które się opierał. Szepnął tylko:

– Poczekaj, czerwonoskóry łotrze, niebawem ureguluję z tobą rachunki.

Krople krwi trysnęły na twarz Kanadyjczyka.

– Czy ktoś został ranny? – zapytał drżącym głosem.

– To tylko draśnięcie i nic więcej – odpowiedział były mikelet.

– Bogu niech będą dzięki!

Wtedy Indianin znowu wydał okrzyk radości i zszedł z drzewa, na które się wcześniej wspiął.

Trzej myśliwi odetchnęli z ulgą.

Sukces ich podstępu nie był jeszcze jednak zupełny. Indianie musieli wciąż zachować pewne wątpliwości, gdyż po ostatnim strzale Apacza zapadła długa i uroczyście cisza.

Zaszło słońce, krótki zmierzch rozpostarł młą barwę na całą naturę, nadeszła noc i księżyc oświetlił rzekę, ale czerwonoskórzy wojownicy nie dawali oznak życia.

– Kuszą ich nasze czupryny, ale jeszcze wahają się, by przyjść po nie i je zabrać – tłumiąc ziewanie, ze znudzeniem stwierdził Pepe.

– Cierpliwości – odrzekł Kanadyjczyk. – Indianie są jak sępy, które nie śmiały szarpać trupa człowieka dopóki ten nie zacznie gnić, ale w końcu rozzuchwalają się, zatem Apacze postąpią podobnie. Teraz zajmijmy nasze stanowisko za trzciniami.

Strzelcy powoli podnieśli się na jedno kolano i znów zaczęli śle dzić ruchy Apaczów. Przez chwilę brzeg położony naprzeciw nich wydawał się pusty, po czym jeden Indianin dał się zobaczyć, początkowo ostrożnie, by wypróbować niecierpliwość nieprzyjaciela w przypadku, gdyby jego bezruch ukrywał jakąś sztuczkę. Przyłączył się do niego drugi wojownik i obaj podeszli nad brzeg z rosnącą

¹ *Linia* – tu: 1/12 cala, czyli około 2,71 mm.

pewnością siebie. W końcu Kanadyjczyk doliczył się dziesięciu. Ich barwy wojenne oświecał księżyc.

– Indianie, jeżeli dobrze ich znam, będą przekraczać rzekę pojedynczo, jeden za drugim – powiedział Bois Rosé. – Ty, Fabianie, wycelujesz do pierwszego, Pepe będzie celował do środka, a ja biorę na siebie przedostatniego. Tym sposobem będą mogli zbliżyć się na nas w pewnej odległości od siebie i łatwiej sobie z nimi poradzimy. Będzie to walka wręcz, Fabianie, moje dziecko. Podczas gdy Pepe i ja będziemy czekać na nich z nożami w ręku, ty będziesz nabijał broń i ją nam podawał. Przez pamięć twojej matki zabraniam ci mierzyć się z tymi psami na białą broń.

Gdy Kanadyjczyk kończył te różne polecenia, do rzeki wchodził wojownik wysokiego wzrostu, a księżyc z kolei oświecił dziesięciu innych Indian. Wszyscy zbliżali się z taką ostrożnością, że żaden szelest nie zdradzał ich kroków. Można by rzec, że były to cienie wojowników wracających z Krainy Duchów, które w milczeniu wchodziły do wody.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!